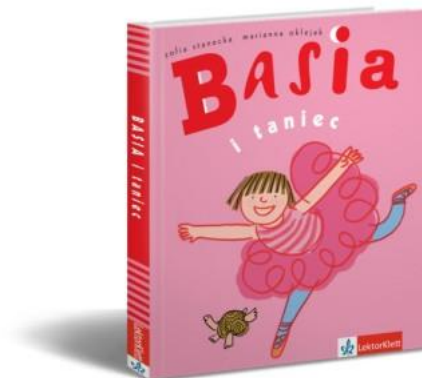


Jak to z Basią było... - wywiad z autorką i ilustratorką

Wywiad z autorką, Zofią Stanecką
rozmawia: Jolanta Gajda

JG: Gdy czytałam „Basię”, uderzyło mnie przede wszystkim to, że bohaterka tej serii to dziewczynka niezwykle autentyczna. Prawdziwa wręcz do bólu ;) – to potwierdzi chyba



każdy rodzic dziecka w wieku przedszkolnym. Trudno uwierzyć, że to fikcja literacka. Jak udało się to Pani osiągnąć? To wynika z Pani doświadczenia jako matki, wspomnień z dzieciństwa czy też jakiejś pisarskiej intuicji?

ZS: Pani słowa są dla mnie bardzo miłe, bo kiedy wymyślałam Basię, chciałam, żeby przede wszystkim była właśnie autentyczna. Marzyłam, żeby czytające o niej dzieci miały poczucie obcowania z niemal realnie istniejącą osobą, której problemy są dla nich zrozumiałe, a zachowanie dziwnie znajome i bliskie. Nie umiem jednak podać recepty na „stworzenie Basi”. To jedna z tych tajemnic pisania, które wciąż mnie zaskakują. Sama mam trójkę dzieci – bardzo i do bólu prawdziwych – ale żadne z nich nie jest Basią.

Na pewno jest tak, że Basia częściowo jest, jaka jest dzięki temu, że znam dużo różnych dzieci i że sama pamiętam, jak to było, kiedy byłam dziewczynką. Jednak pisząc kolejne tomy, nie miałam na myśli jakiegoś konkretnego dziecka... poza Basią właśnie. Raz stworzona, zaczęła żyć własnym życiem. To ona podpowiada mi, jak zachowałaby się w konkretnej sytuacji, co by mogła odpowiedzieć czy zrobić. Jeśli jest w tym moja zasługa, to polegała na tym, że wyobraziłam sobie i opisałam dziecko, które wydało mi się właśnie prawdziwe. Teraz muszę wymyślać nowe przygody i wrzucać Basię w nowe sytuacje, ale to, jak się w ich czasie zachowa, pisze się prawie samo. Bo Basia już sama pilnuje tego, żeby pozostać sobą.

JG: Nie tylko Basia jest prawdziwa, ale i przedstawione sytuacje. Przyznam, że czytając książeczkę „Basia i Mama w pracy”, byłam mile zaskoczona realizmem, z jakim Pani ukazała konflikt rodziców Basi. Dzieci są często świadkami podobnych kłótni w domu, a tymczasem w książkach mają zazwyczaj do czynienia z cukierkowym światem, gdzie dorośli są zawsze uprzejmi i dobrze ułożeni. Czy Pani trudno było, jako pisarce, obnażyć niedoskonałości świata dorosłych w książeczce przeznaczonej dla małego dziecka?

ZS: Sama decyzja o pokazaniu w książce dla dzieci konfliktu dorosłych nie była trudna. Kłótnia lub konflikt jest czymś, co zdarza się w każdej rodzinie. A skoro książki o Basi mają

pokazywać prawdziwą rodzinę i pomagać dzieciom przejść przez różne, często niełatwe dla nich sytuacje, trudno o nich nie pisać. Istotne było to, w jaki sposób opisać konflikt między rodzicami, żeby nie pogłębiać frustracji czytających, tylko odwrotnie – pomóc oswoić trudny problem. Ważne było dla mnie pokazanie kłótni jako czegoś, co się po prostu zdarza, a potem mija, czegoś, z czym można sobie poradzić. Rodzice Basi nie chcą jej wciągać w swoje problemy, dlatego kłócą się dopiero po uspieniu dzieci. Kiedy jednak Basia „nakryje ich” na kłótni, nie udają, że nic się nie stało, nie odsyłają jej do pokoju i własnych spraw, tylko starają się wytłumaczyć jej całą sytuację.

A jeżeli chodzi o uprzejmych, dobrze ułożonych dorosłych, to czy naprawdę tacy jesteśmy? Raczej chcemy za takich uchodzić w oczach dzieci. A to z kolei rodzi frustrację i niechęć tych ostatnich, wprowadza dystans między nami i nimi, bo dzieli świat na niegrzeczne dzieci i grzecznych dorosłych. Chyba lepiej pokazać dzieciom, że jesteśmy, jak one, po prostu ludźmi, którym zdarza się, że są zmęczeni czy zdenerwowani, a nawet że się pokłócą. Ważne jest, żeby wiedziały, że nie ma nic złego w odczuwaniu trudnych emocji, ale że z takimi emocjami jakoś trzeba sobie poradzić – i to bez krzywdzenia innych ludzi. Kłótnia nie jest tu najlepszym rozwiązaniem. Kiedy się jednak zdarzy, też można z niej jakoś wybrnąć. To nasza postawa wobec konfliktów, a nie udawaniem, że ich nie ma, możemy pomóc dzieciom w „oswajaniu” trudnych spraw.



JG: Druga moja ulubiona część to „Basia i pieniądze”. Cieszę się, że ten temat został poruszony, bo nie mamy na rynku zbyt wielu książeczek dla dzieci z zakresu – nazwijmy to – edukacji finansowej. Temat pieniędzy to w polskich rodzinach trochę temat tabu – rodzice rzadko rozmawiają z dziećmi poważnie o pieniądzach, bo są przekonani, że ich pociechy są za małe, by cokolwiek zrozumieć. Pani tymczasem podjęła ten temat w wielu aspektach. Pojawia się i budżet, i artykuły pierwszej potrzeby, i konieczność kontrolowania chwilowych zachcianek, i uświadczenie sztuczek stosowanych w promocjach handlowych, i istota bankomatu. To wszystko jest, choć nie jest oczywiście tak mądrze nazwane ;) Czy to było świadome i zamierzone, żeby tak dogłębnie zająć się problematyką pieniędzy?

ZS: W mojej rodzinie stosunek do pieniędzy był raczej lekceważący. Wychowywano mnie w poczuciu, że są w życiu ważniejsze rzeczy, na przykład książki. Wyrosłam w domu, który nie przygotował mnie do życia w świecie pełnym pokus, reklam i obsesji posiadania wciąż nowych rzeczy. Nie byłam też przygotowana na to, że książki kupuje się za pieniądze, i to często niemałe. Dziś myślę, że takie całkowite lekceważenie jest równie niedobre, jak przywiązywanie do pieniędzy zbyt dużej wagi. Podobnie jak w przypadku kłótni i konfliktów, choć nie jest to łatwe, najlepiej jest zachować złoty środek: nie nadawać pieniądзом



niepotrzebnej wagi, ale też nie udawać, że są nam w życiu niepotrzebne.

Wydaje mi się też ważne, żeby z dziećmi o tych sprawach rozmawiać. Kiedy zaczynałam pracę nad „Basią i pieniędzmi”, przede wszystkim szukałam jakiegoś klucza do tej opowieści. Czegoś, co pozwoli mi poruszyć jak najwięcej związanych z pieniędzmi problemów w sposób jak najbardziej naturalny. Gdy wpadłam na pomysł, żeby akcję książki umieścić w supermarkecie, wiedziałam, że to jest właśnie to! Nie musiałam nawet tworzyć listy zagadnień do poruszenia. Każda matka, która choć raz była z dziećmi na zakupach w dużym sklepie wie, jak wiele problemów może ją spotkać w czasie jednej takiej wyprawy. Dzieci otoczone setkami zabawek, reklam i słodyczy same prowokują dyskusję o kupowaniu, pokusach czy potrzebie posiadania. Dodam, że jest to jeden z powodów, dla których już od paru lat staram się nie zabierać dzieci na zakupy.

JG: W serii „Basia” powstało już 10 tytułów i każdy realizuje jakąś inną problematykę. Czy są takie tytuły, które są Pani szczególnie bliskie lub wywoływały w trakcie pisania największe emocje? Czy Pani przywiązuje się do swoich książek? Wraca do nich?

ZS: Najbardziej lubię „Mamę w pracy” i „Pieniądze”. Nad tymi częściami pracowałam szczególnie ciężko, bo zależało mi na tym, żeby uchwycić istotę problemu, a jednocześnie napisać coś zabawnego i zrozumiałego dla dzieci. Sama jestem mamą pracującą w domu, więc książki o zmaganiach Mamy, chociaż nie opisują mnie samej, traktuję w sposób szczególny. W pozostałych tomach lubię konkretne sceny lub bohaterów – na przykład Anielkę z „Przedszkola”, dziadka Henryka i babcię Krystynę z „Dziadków”, wyprawę do szpitala z „Braciszka”, zmagania z pakowaniem z „Biwaku” i rozmowę o świętym Mikołaju z „Bożego Narodzenia”. Generalnie jednak nie wracam do swoich książek. Nie lubię ich czytać, kiedy już są wydane. Boję się, że znajdę jakieś rzeczy, które jeszcze chciałabym poprawić. Należę do osób wiecznie niezadowolonych ze swoich tekstów i wciąż je poprawiających. W zasadzie nigdy nie czytam wydrukowanych „Baś”, chyba że przez przypadek. Ostatnio przeczytałam „Pieniądze” mężowi przez ramię, bo zaczął się śmiać w czasie lektury i byłam ciekawa, co go rozśmieszyło.

JG: A jakie są plany na przyszłość? Czy będziemy mieli jeszcze możliwość spotkać się z Basią w kolejnych odcinkach?

ZS: Jesienią ukażą się kolejne dwie części: „Basia i telewizor” i „Basia i gotowanie”. A co będzie dalej? Wiem, że wydawnictwo planuje wydanie jakichś „Baś” w następnym roku, ale ile ich będzie i jakie poruszą w nich tematy, to się jeszcze okaże.

JG: W takim razie z niecierpliwością czekam na kolejne części, a Pani bardzo dziękuję za rozmowę i życzę wielu pozytywnych emocji przy tworzeniu dalszych perypetii tej sympatycznej, bystrej dziewczynki.



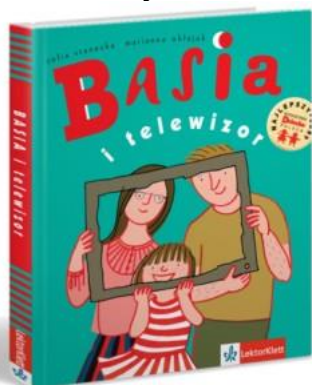
Wywiad z ilustratorką, Marianną Olejnik
rozmawia: Jolanta Gajda

JG: Jakie były Pani wrażenia, gdy po raz pierwszy zapoznała się Pani z treścią „Basi”? Czy to było zaskoczenie, czy ciekawość, czy może coś w rodzaju „miłości od pierwszego wejrzenia”? ;)

MO: Pierwszym tekstem o Basi, jaki trafił w moje ręce, było opowiadanie „Basia i upał w zoo”. Pierwsza lektura to było odkrycie: tekst wydał mi się naprawdę niestandardowy! Spodobała mi się lekkość pióra i poczucie humoru. Poczułam, że będę mieć prawdziwą przyjemność z ilustrowania takiej historyjki. Dałam się wciągnąć.

JG: Jak właściwie wygląda „od kuchni” praca ilustratora książeczek dla dzieci? Czy postacie dojrzewają w Pani wyobraźni przez dłuższy czas i dopiero wtedy trafiają na papier, czy też zaraz po przeczytaniu chwyta Pani za ołówek i od razu kreuje obrazy?

MO: Przy pracy nad pierwszym tomem przygód Basi rzeczywiście spędziłam więcej czasu nad obmyśleniem samych postaci. Znałam imię głównej bohaterki, z tekstu wynikało, że ma grzywkę, z dialogów można było wyczytać jej temperament, ale właściwie całą resztę trzeba było dopowiedzieć rysunkiem. Znaleźć jej miny, sposób, w jaki się



porusza i ubiera. Potem trzeba było się zastanowić, jak mogą wyglądać jej rodzice i brat (najmłodszy siedział jeszcze w brzuchu u mamy), nauczyć się ich.

Na początku wiedziałam już, że mają powstać cztery książeczki, więc Basia musiała być postacią, która się sprawdzi w dłuższej perspektywie, będzie czytelna, rozpoznawalna, wystarczająco prosta w wyrazie, ale i z charakterkiem, z „pazurkiem”, który sprawiłby, że dzieci będą z ciekawością szukały jej w książkach. W tej pracy koncepcyjnej oczywiście

nieocenione były konsultacje z autorką – Zosią Stanecką i z Marynią Deskur, która serię prowadzi.

Teraz już lepiej znam Basię i jej rodzinę. Nie trzeba wszystkiego budować od nowa przy kolejnej książce. Ale oczywiście zawsze właściwa praca jest poprzedzona różnymi szkicami i namysłem, by stworzyć dobrą ilustrację, pamiętając o jej odbiorze przez małego czytelnika.

JG: Gdy pierwszy raz zetknęłam się z ilustracjami do „Basi”, przyznam, że przykuły moją uwagę. Były tak odmienne od stereotypowych obrazków, jakie spotykamy w książeczkach dla dzieci, że zaczęłam się im z ciekawością przyglądać. Wydaje mi się, że dzięki Pani rysunkom, nawiązującym w dużej mierze do dziecięcej percepcji i wrażliwości, świat przedstawiony w książeczce jest dziecku jeszcze bliższy i bardziej zrozumiały, bo po prostu swojski. Czy to zamierzony efekt z Pani strony, czy też taka jest, ogólnie rzecz biorąc, Pani stylistyka?

MO: Rzeczywiście staram się myśleć o małym odbiorcy. Nie mam na myśli podlizywania się, ale trafianie do kilkuletniego dziecka. Na przykład często staram się ubogacać obrazek różnymi szczegółami, które wprowadzą jakby dodatkowy poziom narracji – pamiętam, że sama lubiłam dokładnie studiować ilustracje i w kółko je oglądać. Staram się więc wyjść temu naprzeciw.

Poza tym – jak już wspominałam – wiadomo było, że Basia ma pojawić się w kilku książeczkach, ma być czytelna i sprawdzać się w wielu sytuacjach. I że jej historie osadzone są mocno w realistycznym „tu i teraz”. Taka jest koncepcja serii. To nie są historie fantastyczne, lecz bliskie codziennemu doświadczeniu – ważne więc było, by Basia nie była przestylizowana, żeby była dla dzieci „jedną z nich”. Nad takimi założeniami trzeba się było pochylić. Jeśli mówi Pani, że świat z książeczek o Basi staje się bliższy i zrozumiały, to bardzo mnie to cieszy – bo o to chodziło. Ale poza tym wystrzegam się wygłaszania jakichkolwiek mądrości na temat sztuki ilustracji – może będę bardziej uprawniona za jakieś 40 lat :)

JG: W całej serii Basia przeżywa najprzeróżniejsze emocje – radość, zdziwienie, smutek, złość, zaciekawienie itd. Mi, jako laikowi, wydaje się, że zilustrowanie emocji, tak by były na rysunku dobrze rozpoznawalne, jest dla rysownika jednym z trudniejszych zadań. Czy tak rzeczywiście jest? Co w ilustrowaniu tej książeczki jest dla Pani największym wyzwaniem, a co największą frajdą?

MO: Jako wyzwanie można potraktować każdą kolejną książeczkę – jak, zaczynając od początku, ale działając w ramach serii, zrobić coś ciekawego. Bardzo lubię te miejsca, kiedy mogę na ilustracji umieścić dodatkową narrację – właśnie poprzez mimikę, o której nie ma



mowy w tekście, ale która może wygrać coś nowego; albo przez dorysowywanie drugich planów – w „Basi i pieniądzech” można śledzić w sklepie kilka różnych postaci, które przyszły na zakupy do tego samego sklepu – spotykamy je co rusz w tle, między półkami. Bardzo lubię rysować szczegóły-niespodzianki, które nie od razu się zauważa.

JG: Na koniec chciałabym odejść nieco od tematu samej Basi i zapytam Panią o coś, co prawdopodobnie interesuje małych użytkowników naszego serwisu. Czy Pani, jako dziecko, chciała zostać rysownikiem? Kiedy obudziło się w Pani zamiłowanie do rysowania? Co doradziłyby Pani tym dzieciom, które chciałyby w przyszłości ilustrować książki?

MO: Rysować i dobrze się tym bawić! Kiedy miałam bodaj cztery lata, rodzice zapytali mnie, czy zostanę malarką – bo z kredkami i farbami się nie rozstawałam. Potwierdziłam poważnie. „Pokojoyą?” – zażartowali. „Tak” – odparłam z jeszcze większą powagą, będąc przekonana, że malarz pokojowy to ten, którego obrazy wiszą w pokojach.

JG: Życzymy w takim razie naszym małym użytkownikom, by jak najczęściej sięgali po kredki i farby i czerpali z tego dużo radości. Pani bardzo dziękuję za rozmowę.